

## **Mierzęcińskie opowieści i opowiadki (Historie i historyjki Mierzęcińskie)**

spisane przez Eberharda von Waldow

Pałac Mierzęcín do końca II wojny światowej należał do rodu von Waldow. W okresie późniejszym obiekt pozostawał niezamieszkały i tym samym nadgryziony został zębem czasu.<sup>1</sup> W roku 1998 Pałac zakupili dwaj przedsiębiorcy Piotr Nowakowski oraz Piotr Olewiński. Zamierzeniem obu Panów była restauracja budynku i doprowadzenie do pierwotnego stanu sprzed roku 1945.<sup>2</sup> Zabiegi renowacyjne wraz z modernizacją przeszły najśmielsze oczekiwania. Tym samym narodził się stary Schloss Mehrenthin jako Pałac Mierzęcín. Gdy dzisiaj spaceruję po salach pałacowych, przypominają mi się w nim stare miejsca i ich przeznaczenie.

Ale kim byli ludzie, którzy tutaj mieszkali, i w jaki sposób żyli? Ducha tamtych czasów nie da się już odtworzyć. Odpowiedzi na te pytania istnieją tylko w pamięci tych, którzy tego sami doświadczyli. W związku z tym zawarłem w tej opowieści kilka własnych wspomnień i mam nadzieję, że one stworzą obraz chłopca, który żył tutaj jakiś czas.

Dedykowane właścicielom Pałacu Mierzęcín

Piotrowi Nowakowskiemu

oraz

Piotrowi Olewińskiemu

w imię przyjaźni.

Wrzesień 2004

---

<sup>1</sup> Po zakończeniu II Wojny Światowej w Pałacu Mierzęcín mieścił się dom dziecka, prowadzony przez katolickie siostry zakonne.

<sup>2</sup> Zamierzeniem nowych właścicieli była odbudowa Pałacu, łączącego przedwojenny charakter z funkcjonalnością i nowoczesnością.

## Biografia i historia

W dniu 23.12.1923 roku pojawiłem się na świecie. Imiona nadane mi na chrzcinach to: Hans Eberhard Christian Erdmann Georg. Imiona w rodzinach szlacheckich – to często długa lista. Miano na uwadze przede wszystkim przodków i pamięć o nich. Mnogość imion przysparza za zwyczaj wiele kłopotów w urzędach lub instytucjach. Dla przykładu mój dziadek ze strony ojca posiadał również wiele imion: Bernhard Robert Friedrich Matthias. W przypadku mego ojca było prościej: Bernd Bastian.

Rok mego urodzenia to rok najwyższego współczynnika inflacji, jaki kiedykolwiek miał miejsce. Moja mama płaciła za litr mleka nawet miliardy marek. Żołnierzom frontowym było trudno odnaleźć się w powojennej rzeczywistości. Mój ojciec był jednym z nich. Po kilku nieudanych próbach pomógł mu jego starszy brat Bernd Sigismund, zwany „Wujkiem Sigm”.<sup>3</sup> Jako ordynat Mierzęcina był w stanie zakupić dla swego brata niewielki majątek w miejscowości Hagelfelde (Gostomia), Kreis Arnswalde (powiat Choszczno). Właśnie wtedy nadszedł okres kryzysu gospodarczego, który dotknął też gospodarkę rolną. Nasz ojciec musiał pozbyć się majątku. Ostatecznie wybrał zupełnie inną drogę - rozpoczął studia teologiczne na Uniwersytecie w Greifswaldzie. Niestety, w związku z problemami natury finansowej zdecydował się opuścić rodzinę. Mój starszy brat Alexander zamieszkał u zaprzyjaźnionej rodziny von der Osten w Wyszoborze (Wisburg) w powiecie Resko (Regenwalde), ja natomiast zamieszkałem u wujka Sigiego.

### Majątek szlachecki Mehrenthin (Mierzęcín)

Majątek Mierzęcín stał się częścią mego życia. W roku 1721 majątek został kupiony przez mego przodka, królewskiego, pruskiego generała-majora Friedricha Siegismunda von Waldow i aż do 1945 roku był w posiadaniu naszej rodziny. Również tutaj przyszli na świat wspomniany wcześniej wuj Sigi oraz mój ojciec (1898-1945). Majątek obejmował 3675 hektarów (w tym 2756 ha lasu), co czyniło go jednym z większych w okolicy.

Pałac Mierzęcín wybudował mój pradziad Robert von Waldow. W roku 1865<sup>4</sup> został oddany do użytku i zamieszkały. W tym samym czasie wybudowano również obory i stajnie dla zwierząt oraz stodoły. Do dziś widoczne są nad niektórymi bramami wejściowymi kute daty i inicjały.

Ojciec wujka Sigiego zmarł na początku pierwszej wojny światowej, w grudniu 1914 roku. W związku z jego śmiercią, wuj Sigi (uczestnik bitwy o Tannenberg (Grunwald), został zwolniony ze służby w armii i oddelegowany do swojego majątku w Mierzęcínie, nad którym pełnił pieczęć do nagłej śmierci w roku 1937.

Kiedy przybyłem do Mierzęcína w 1934 roku, wuj Sigi posiadał również drugi majątek – Sassenburg (Chlebowo) (Kreis Saatzig ob. powiat Ińsko), niedaleko Stargardu Szczecińskiego. W wyniku dziwnych operacji finansowych, których nigdy nie pojąłem,

---

<sup>3</sup> Stryj Sigi – po polsku brat ojca to stryj

<sup>4</sup> Wg kroniki rodziny von Waldow uroczyste otwarcie pałac u nastąpiło w październiku 1863 roku

stał wuj Sigi przed poważnym wyborem: mógł on stracić pokaźną kwotę bądź przejąć majątek Sassenburg. O ile się nie mylę, dobra Sassenburg były wówczas w rękach Pana von Enckeforth. Sassenburg był znacznie mniejszy od Mierzęcina i miał zasadniczo charakter gospodarstwa rolnego. Ziemia była tam lepsza od tej w Mierzęcinie. Wuj Sigi bywał często w Sassenburgu, aby zarządzać gospodarstwem. Ja również miałem okazję tam być. Pałacu tam nie było, za to prosty, ładny dwór. Podwórze gospodarcze było znacznie mniejsze od mierzęcińskiego - bez gorzelni, ale za to z fabryką krochmalu. Przejęcie majątku Sassenburga było dobrą decyzją, tym bardziej, że gospodarstwo zostało określone przez rząd jako „majątek wzorcowy”, który przynosił zyski, co z kolei procentowało dla dóbr mierzęcińskich.

W 1937 roku niespodziewanie umarł wuj Sigi. Był to szok dla rodziny oraz ludzi, którzy go znali i cenili. Testament nie został spisany. Prawowitym spadkobiercą był jego syn Norbert. Niestety Norbert jako szesnastolatek nie mógł przejąć spadku. Na potrzeby jego przejęcia został wyznaczony kurator sądowy. Ze względu na rozmiary majątku musiał zostać wyznaczony drugi kurator, który swoim podpisem uwierzytelniał wszystkie dokumenty. To był mój ojciec. Nowa funkcja spowodowała, że był on częstym gościem w Mierzęcinie.

Potem przyszła II wojna światowa. Norbert został żołnierzem, niestety poległ w Rosji w 1944. Tym samym zabrakło jedyne go spadkobiercy majątku w Mierzęcinie i kwestia dziedziczenia dóbr stała się tematem otwartym. Na szczęście pozostały jeszcze cztery córki wuja Sigiego – Waltraut i trojaczki: Senta, Irma oraz Sigrid, a także rodzina drugiej żony wujka Sigiego. Ze względu na wydarzenia wojenne, do roku 1945 kwestia spadku nie była podejmowana. Natomiast po roku 1945, w związku z nowym porządkiem administracyjnym w Niemczech Wschodnich prawo do spadku przestało być zasadne.

Najwyższym autorytetem na dobrach w Mierzęcinie był wuj Sigi. On pociągał za wszystkie sznurki i to jego słowo było wiążące. Jego najważniejszym współpracownikiem był wówczas Rentmeister (administrator) pan Häusler.<sup>5</sup> Do jego zadań należała administracja i prowadzenie ksiąg rachunkowych. On rezydował w tak zwanym Rentamt (oficyna). Kolejnym ważnym urzędnikiem był nadleśniczy Rohde<sup>6</sup>, odpowiedzialny za wszystko, co związane było z lasem i gospodarką leśną. Na polowania przywdziewał on zazwyczaj zielony mundur z herbem rodowym na kołnierzu,. Kilka razy w roku zasiadał wraz z wujkiem Sigim po to, aby zdecydować, ile drewna trzeba przygotować w danym roku.

„Ochrona środowiska” nie była przedmiotem dyskusji. Rozumiała się sama przez się. Zasada była prosta: to, co zostało wycięte, trzeba było w tej samej ilości posadzić. Nowe sadzonki miały zaowocować przyszłym pokoleniom.

Sporym autorytetem obdarzeni byli również poszczególni zarządcy (Meister) tacy jak: zarządca dziedzina (Hofmeister), trzody chlewnej (Schweinemeister) i gorzelni (Brandmeister)<sup>7</sup> pan Jeck<sup>8</sup>. Jedno jest pewne: pan Jeck strażakiem nie był. Działał za to w gorzelni, gdzie z ziemniaków uzyskiwał alkohol. Pozostałości procesu destylacji tzw. - pulpa (Schlempe) była przepompowywana do obór, gdzie wykorzystywano ją

---

<sup>5</sup> Otto Hausler był administratorem i księgowym majątku a także wójtem Mierzęcina

<sup>6</sup> Max Rohde

<sup>7</sup> Brandmeister- w języku niemieckim słowo posiada dwa znaczenia.1) ogniomistrz, 2) mistrz gorzelniany

<sup>8</sup> Paul Jaeck – właściwa pisownia nazwiska

na paszę dla krów. Zarządca obór (Schweizer) nosił się dumnie, odziany w koszulę w różowo-białą kratę. Towarzyszył mu delikatny zapach bydła.

Pozostałości przerobionych ziemniaków wpływały znacząco na smak mleka, które codzienne sprzedawano w Dobniegiewie (Woldenberg). Ludzie z miasta chyba nie zauważali kartoflanego smaku mleka. Natomiast mleko pite w pałacu pochodziło od dwóch krów, które były karmione lepszą paszą. Był jeszcze w Mierzęcinie zarządca, tzw. Bodenmeister, odpowiedzialny za zawartość spichlerza zbożowego.

Pracownicy z reguły wynagradzani byli w naturze (deputanci). W ramach tego mieszkali w budynkach należących do majątku, mieli swoje ogródki. Otrzymywali przydziały zboża, ziemniaków, drewna opałowego lub torfu. Ich krowy mogły paść się na łąkach majątku. Jedną czwartą ich wynagrodzenia stanowiła gotówka. Niektóre z rodzin żyły w Mierzęcinie od wielu pokoleń, co niosło problemy. Zmieniły się, bowiem warunki oraz sposób życia: młodzież chciała słuchać radia, jeździć na rowerze albo motocyklu. Niestety pracownicy folwarczni na takie rozrywki nie mogli sobie pozwolić. To przyczyniło się do migracji młodzieży do miast i niedoboru siły roboczej na wsi.

Jak w wielu dużych majątkach był problem w czasie żniw. Żniwiarze (Schnitter). Byli to pracownicy sezonowi, którzy przeważnie przybywali przez granicę z Polski. Ulokowani byli w specjalnych budynkach. Nie mieliśmy z nimi żadnego kontaktu, zapewne z powodu bariery językowej. Ale uprzedzenia były też nie bez znaczenia. Wydawali się być prymitywni i brudni, przynosili ze sobą wszy i pluskwy; najchętniej ukradliby wszystko, co się da. Tak, więc jak tylko żniwa dobiegały końca, a polscy pomocnicy wracali na wschód, rozpoczynała się wielka dezynfekcja pomieszczeń, w których mieszkali. Naturalnie - ci pomocnicy pochodzili z najuboższych zakątków kraju. Te uprzedzenia doprowadziły do nieszczęsnych uogólnień; w końcu utożsamiano z nimi wszystkich Polaków. „Polnische Wirtschaft” (polska gospodarka)-tak pogardliwie określano jakikolwiek bałagan. Taki stan rzeczy był przykry, natomiast my z tym obrazem Polski wychowywaliśmy się i nie zrobiono nic, żeby to skorygować. Dopiero dużo, dużo później dowiedziałem się, że w Polsce, tak jak w innych krajach mieszkają cywilizowani i wykształceni ludzie, że Warszawa nazywana była niegdyś Paryżem Wschodu. W zasadzie to szkolnictwo i oświata powinny były korygować panujące poglądy na temat Polski. Dzieciom wychowanym na pograniczu powinny zostać stworzone warunki poznania drugiej strony, czy to przez wspólne zajęcia, czy w ramach wizyt po obu stronach granicy.

Obok pracowników folwarcznych (Deputanten) trzonem siły roboczej majątku były konie. Trzy z nich tworzyły zaprzęg, który powoził woźnica. Każdy zaprzęg oznaczony był drewnianą tabliczką znamionową: „von Waldow, Mehrenthin” (Mierzęcin). O konie też nie było łatwo, szczególnie od 1934 roku, kiedy to rząd nazistowski powołał do życia Wehrmacht, a wojsko musiało się jakoś poruszać. Oficerowie Wehrmachtu pojawiali się, zatem w majątkach i na podstawie wielkości dóbr ustalali liczbę koni konieczną do odstawienia Wehrmachtowi.

Szczególnie poszukiwane były konie pod wierzch i bryczkowe, ale to nie znaczy, że gardzono ciężkimi końmi zaprzęgowymi. Niedobór w stajniach stał się faktem.

Mój wuj Sigi był zawsze osobą przewidującą. Sprowadził on zastępujący konia ciągnik gąsienicowy, pierwszą tego rodzaju w okolicy maszynę - cud, która rzekomo poruszała się w każdych warunkach terenowych i nie mogła utknąć. Gdy „monstrum” pojawiło się w Mierzęcinie podziwiane było z należnym szacunkiem. Przy stosownej

okazji wuj Sigi wyjaśnił mi, że: „Pojazd łańcuchowy jest pojazdem szynowym takim jak kolej żelazna. Ale jest jedna istotna różnica; kolej jedzie po szynach już leżących, natomiast pojazd łańcuchowy kładzie swoje gąsienice z przodu i zabiera je z tyłu”. Później już, w czasie wojny, gdy byłem żołnierzem brygady pancерnej, słowa wuja Sigiego często pojawiały się w moich myślach.

Wkrótce nadeszło rozczarowanie. Droga z Mierzęcina do Chrapowa biegnie przez Wzgórze Jabłkowe (Apfelberg). Zawsze słynęła z tego, że w czasie deszczu jej gliniasta powierzchnia przekształcała się w kleiste i grząskie błocko. Pewnego ranka wujkowi Sigi zakomunikowano: „Panie Rotmistrzu, nasz ciągnik zaklinował się na Wzgórzu Jabłkowym”. To było nie do pomyślenia. Wuj Sigi natychmiast pomaszerował na miejsce, by zobaczyć jak się sprawy mają. Ja też poszedłem. I wtedy ujrzeliśmy całe nieszczęście. Nasz ciągnik zapadł się w błoto i znieruchomiał, mimo iż jego gąsienice nadal sprawnie się obracały. Wzgórze pozostało niezdobyte.

Co było robić? Po dłuższej dyskusji z kierowcą, wuj Sigi zarządził sprowadzenie trzech koni, które miały wyciągnąć maszynę z potrzasku. Zwierzęta zaprzęgnięto i przy głośnych uderzeniach bąta i okrzykach licznie zgromadzonych gapiów, bezsilny pojazd uwolniono z błotnistej opresji.

Na końcu koniuszy dumnie dodał: „I teraz widać dobrze, że żywe konie są zawsze trochę lepsze niż mechaniczne.

## Wuj Sigi

W gronie mierzęcińskiej rodziny spędziłem dwa najwspanialsze lata mego dzieciństwa (1934- 35). Zostałem przyjęty z miłością, dołączyłem po prostu jako szóste dziecko do piątki dzieci majątku; najstarszej Waltraut, syna Norberta-przyszłego spadkobiercy oraz trojaczek. Szczególna więź połączyła mnie oraz wuja Sigiego. On, bowiem dążył do tego, bym szybko zaadoptowałem się w nowych warunkach.

Pierwszej żony Wujka Sigiego, Ulriki von Winterfeld, po prostu ciotki Ulli, nigdy nie poznałem. Zmarła w listopadzie 1926 podczas porodu szóstego dziecka. Oboje zresztą spoczywają teraz w parku mierzęcińskim. Ich grób z kamiennym krzyżem i wyrytym epitafium „Miłość nie przemija nigdy” („Die Liebe höret nimmer auf”) mimo powojennych perturbacji przetrwał do dziś i jest otoczony szczególną opieką przez obecnych polskich właścicieli.

Wujek Sigi ożenił się po raz drugi. Tym razem jego wybranką została Annemarie Gibelius, córka ówczesnego pastora w Strzelcach Krajeńskich (Friedeberg). Zarówno dla mnie jak i pozostałych dzieci wujka Sigiego ciotka Annemarie nie była kimś nowym, jakimś zaskoczeniem. Wcześniej bowiem pracowała w pałacu jako niania.

[Niektóre ciotki kręciły nosem na to małżeństwo...} moja wersja

Za to na twarzach niektórych cioć malował się nierzadko grymas niezadowolenia.....

ponieważ Annemarie Gibelius nie była szlachcianką. Moja mama, z domu Olly Krieg, zresztą też nie.

Innymi słowy, obaj bracia poślubili zatem kobiety niższego stanu

Wuj Sigi, prawie dwumetrowego wzrostu, korpulentny był po prostu imponującym, budzącym respekt mężczyzną. Był uwielbiany i to z należnym dla niego szacunkiem! Zwracano się do niego zgodnie ze stopniem wojskowym, „Panie Rotmistrzu”. Taki był wtedy zwyczaj. Podobnie zwracano się do wujka Hansa z Wołogoszczy (Wolgast), „Panie Majorze”. Natomiast, gdy nasz ojciec został już dobrze sytuowanym pastorem i przybył do Mierzęcina, zwracano się do niego „Panie Podporuczniku”. Trochę wydawało mi się to komiczne.

Wuj Sigi miał jeszcze tę drugą, bardzo ludzką stronę. Miał w sobie wiele dobra, miłości, potrafił być życzliwy. Dzieci kochały go ponad życie, mówiły go niego „tatusiu”, a dla mnie był wujaszkiem Sigim.

Jego hojność i życzliwość była również widoczna w kontaktach z pracownikami w majątku. Oto pewna anegdota, którą opisała mi moja mama:

Któregoś dnia pan Häusler, główny administrator poinformował wujka Sigiego, że zarządca ziemski zamiast pilnować pola, wzbogaca się na nim, przywłaszczając sobie plony. Był widziany, jak od czasu do czasu taszczył do domu wiadro z owsem. W związku z tym pan Häusler zaproponował jego natychmiastowe zwolnienie. Wuj Sigi namyślił się chwilę, po czym powiedział: „Nie, tak nie możemy zrobić. Nikt inny już by go nie zatrudnił, a jego rodzina zostałaby bez środków do życia”. Wujek Sigi sprowadził winowajcę do siebie i udzielił mu srogiej reprymendy. Natomiast do pana Häuslera powiedział: „I tak większość zboża zostanie u mnie”.

Dość szybko rozwinęła się szczególna więź między mną a wujkiem. Od czasu do czasu wolno mi było uczestniczyć w inspekcji pól i lasów. Wtedy siedziałem obok niego w małej bryczce, specjalnej do polowań. Ale buzię musiałem mieć zawsze na kłódkę.

Przed jedną z takich przejażdżek koń o imieniu Tristan spędził cały ranek na pastwisku, gdzie jadł świeżą trawę. Zaraz po tym został zaprzęgnięty do naszej małej bryczki. Siedzieliśmy bezpośrednio za nim. W czasie jazdy dokładnie doświadczyliśmy działania trawy na żołądek konia. Medycyna nazywa to wzdęciem. I tak, podczas, gdy Tristan w najlepsze podążał polną drogą, równocześnie unosił ogon, spod którego wydobywały się regularne „pff...,pff...,pff...”. Siedzieliśmy za nim, a zapach wędrował do naszych nosów. Gdy wujek Sigi dostrzegł, jak wywijam głowę, by ustrzec się nieprzyjemnej woni, uśmiechnął się i powiedział: „Oto świeże pomorskie powietrze ze wsi. Przecież dobrze to znasz”.

Chrabąszcz majowy mógł stać się ogromną plagą. Pewnego dnia my, dzieci, powróciliśmy z lasu z workiem pełnym majowych chrabąszczy. Trzęśliśmy drzewami a owady same wpadały do worka. Ów brzęczący worek chcieliśmy przenieść do chlewu, w którym mieliśmy obmyć owady gorącą wodą i takimi rarytasami nakarmić świnię. Przed pałacem napotkaliśmy jednak wujka Sigiego. On wziął jednego chrabąszcza między palce i powiedział do mnie: „Eberhard, jeśli odgryziesz mu głowę, dam Ci 50 pfennigów”. Po chwili zawahania złapałem pełzającą bestię i rzeczywiście odgryzłem jej głowę. Zaraz potem rozbawiony wujek dał mi obiecaną zapłatę. Ten incydent doprowadził do spięcia między wujkiem a moją mamą. To mi nie przeszkadzało. Przecież w pełni zasłużyłem na moje 50 pfennigów.

Gdy wujek Sigi bywał w dobrym nastroju, śpiewał, może nie szczególnie pięknie, ale za to głośno. Wspierała go w tym ciocia Annemarie, grając na fortepianie, który wówczas stał przy lewym oknie pokoju dziennego. Z kolei przy prawym oknie stał śpiewający wujek. Uwielbiał szczególnie ballady, do których muzykę napisał

kompozytor Karl Löwe. Jego numerem popisowym była ballada Freiligratha „Książę Eugeniusz, szlachetny Rycerz” („Prinz Eugen der edle Ritter”). Gdy wuj to śpiewał, zakrawało to prawie na dramatyczne przedstawienie.

Zaczynał dość głośno:

„Namioty, straże, wartownicy  
wesola noc nad brzegiem Dunaju  
konie stoją w formie koła”

Potem przechodził troszkę ciszej do opisu obozu wojskowego i trębacza, który właśnie napisał pieśń o księciu Eugeniuszu, którą to śpiewał swoim obozowym kolegom. Oni się włączali, i pokrótce cały obóz w niebogłosy – a szczególnie wujek Sigi, intonował:

„Książę Eugeniusz szlachetny Rycerz  
Hej to brzmiało jak niepogoda  
Daleko w tureckim obozie”

Teraz następowała strofa kończąca, całkiem po cichu ze zrozumiałym uśmiechem:

„Trębacz głaskał swoje wąsy  
i uciekał bokami  
do markietanki”.

W późniejszych latach często powracałem myślami do występu wujka Sigiego, dlatego też nadal dobrze pamiętam tekst pieśni.

Wuj Sigi miał wtedy kontakty biznesowe z Zakładami Borsig w Berlinie. Tam wytwarzano lokomotywy dla Kolei Rzeszy Niemieckiej (die Deutsche Reichsbahn). W jego gabinecie, (dziś stoi tam stół do bilarda) na biurku stał mosiężny, błyszczący model takiej lokomotywy. Bardzo mnie on interesował, często zresztą spoglądałem na niego pożądlivym wzrokiem. Wuj Sigi zauważył to i gdy pewnego dnia znów stałem przy jego biurku z zawieszonym na modelu wzrokiem, powiedział: „Eberhart, jeśli chcesz lokomotywę, jest twoja”. Ona była dla mnie wtedy najważniejszą rzeczą, niestety podczas bombardowań przepadła.

Wujek jeździł okazjonalnie do Berlina. Kiedyś wrócił ze statuą z brązu. To była kopia nagiego młodzieńca, Dawida, rzeźby autorstwa Michała Anioła. Dumny posiadacz, wujek Sigi postawił posąg na fortepianie w pokoju dziennym, tak by każdy mógł go podziwiać. Mnie też on ciekawił, co więcej, interesowało mnie, co kryć mógł pod sobą liść figowy na posągu. Pewnego razu, będąc sam w pokoju, poskromiłem moją ciekawość unosząc liść z brązu lekko do góry. No i nieszczęście gotowe! Odłamałem go. Za ten czyn zostałem przez ciocię Annemarie srogo skrzyuczany. A na koniec tylko rzuciła: „Poczekaj no, aż tylko wujek Sigi wróci!”. Wuj przyszedł, spojrzął na rezultat mojego haniebnego czynu, po czym uśmiechnął się i powiedział do cioci: „Co chcesz od niego, Eberhart po prostu przywrócił posągowi pierwotny stan”. Potem zresztą wyjaśnił mi: „Kiedyś nie było listka figowego. Ale ludzie z czasem stali się bardziej „wstydlivi” i tak pojawił się liść”.

## Jako szóste dziecko w Mierzęcinie

Początkowo istniały pewne niesnaski między mną a Norbertem. Był dwa lata starszy, silniejszy, no i oczywiście wszystko wiedział lepiej niż ja, nowicjusz. Zawsze chciał i musiał mi pokazać, jaki ze mnie głupek. Jak to zazwyczaj w tym wieku bywało, dochodziło między nami od czasu do czasu do bójek, a ja byłem ten słabszy. Do tego wszystkiego historia z lokomotywą, która dodatkowo pogłębiła konflikt między nami. Norbert też chciał ją mieć, tymczasem jego tata podarował ją mnie.

Pewnego dnia, gdy z Greifswaldu przybył w odwiedziny mój ojciec, postanowiłem mu się wyzalić. Usiedliśmy wspólnie na łóżku w pokoju gościnnym. Wtedy on mi powiedział: „Jeśli Norbert będzie próbował wyrządzić ci krzywdę, musisz się bronić, nie jesteś już przecież takim małym chłopcem”. Potem pokazał mi jak zacisnąć pięść i skutecznie oddać. Za tą poglądową lekcję byłem mu bardzo wdzięczny, potraktowałem ją bardzo poważnie, chyba aż zanadto. Przy następnej bójce zrewanżowałem się dość solidnie, co poskutkowało sińcem pod okiem u biednego Norberta. Złość cioci Annemarie była oczywista. Tylko wuj Sigi skwitował to krótko: „Łobuziaki dały sobie równo”, i tak zostałem oczyszczony. Od tego właśnie momentu rozpoczął się piękny i serdeczny okres w naszym życiu.

Wiele rzeczy robiliśmy razem. Norbert zbierał chrabąszcze lub motyle. Potem były opisywane i lokowane w specjalnych szklanych pudełeczkach. Zbieraliśmy również ptasie jaja. W tym celu oczywiście musieliśmy wspinać się po drzewach. Zdobyte jajka były przez nas pieczołowicie wydmuchiwane i również ładowały w szklanych pojemniczkach. Nauczyłem się od Norberta rzeczy, które trzeba było po prostu wiedzieć będąc na wsi: jak na przykład obedrzeć mysz albo kreta ze skóry. Wystarczyła zwykła ostra brzytwa. Podobnie kryjówki wiewiórek nie były przy nas bezpieczne. Czasami jednak bywało to trochę ryzykowne, szczególnie gdy rozszalała wiewiórka- matka chciała bronić swoje małe. Na moim prawym wskazującym palcu do dziś dnia widać ślad po ugryzieniu wiewiórki. Oczywiście stawialiśmy pułapki również na kuny, tchórze oraz łasice. Używaliśmy pułapek z zapadkami, pułapek sprężynowych, ale nigdy takich, które mogłyby okaleczyć zwierzę. Po polowaniu miały miejsce szczegółowe oględziny, po czym następowało oswobodzenie. Często plagą były krety. Latem na trawniku powstawały niezliczone ilości kretowisk. Dziś, po wielu latach krety mierzęcińskie czynią podobnie. Mleczarz, który codziennie dostarczał mleko do mleczarni, załatwił nam z Dobiegniewa (Woldenberg) dwie łapki na krety. Dzięki temu Norbert i ja skutecznie pozbyliśmy się części tych podziemnych psotników. Naturalnie były w majątku również zwierzęta domowe. Wuj Sigi miał swojego psa o imieniu Ajax. My dzieciaki mieliśmy swoje króliki oraz świnki morskie, o które musieliśmy się troszczyć. Nasze pupile urzędowały w małej przybudówce przy oficynie.

Również polowania oraz kontrola ilości dzikiej zwierzyny odgrywały znaczącą rolę w Mierzęcinie. Wszędzie na ścianach wisały trofea zdobywane i zbierane przez dziesięciolecia. Ściany były pełne rogów, poroży, wypchanego ptactwa. Mój ojciec zawsze tak organizował sobie zajęcia, aby w okolicach końca września być w Mierzęcinie, kiedy to zaczynał się czas rykowisk. Chcąc być bardziej poetyckim, można by określić to zjawisko leśną muzyką organową. Notabene mój ojciec nigdy nie posiadał broni, nigdy też nie polował. On „polował” oczami, wędrując i



przemierzając las z lornetką i laską, pragnął jedynie podziwiać tę dzikość. Pewnego poranka poszedłem z nim. Początkowo nie byłem zadowolony, bo trzeba było wcześniej wstać. Ale wycieczka w las była tego warta. Kiedy już dotarliśmy na miejsce, na szeroką polanę, ukryliśmy się w buszu wysokich traw i czekaliśmy. Bez słowa, w bezruchu, bezszelestnie. Po chwili naszym oczom ukazały się dorodne jelenie, które rozpoczęły swój koncert. To było moje pierwsze „seksualne doświadczenie”. Wszystko tak naturalne, że dodatkowe wyjaśnienia były zbędne. Często zresztą widywaliśmy, jak kogut „dosiadał” swojej kury. „Potem jajka lepiej smakuja” - wyjaśniano nam humorystycznie.

## **Życie rodzinne w Pałacu**

Pałacem rządziła ciocia Annemarie. Wspierała ją gospodyni kuchenna, praktycznie najważniejsza persona w gospodarstwie. Zawsze ubrana w kwiecisto- biały fartuch kuchenny, z pękiem kluczy przy pasie jako oznaka dostojności w majątku. Gospodyni kierowała kuchnią, piwnicą oraz pralnią. Była również odpowiedzialna za cały personel w pałacu. Każdego ranka zasiadała, więc ciocia Annemarie razem z gospodynią przy swym biurku w pokoju damskim i omawiały plan na dzień bieżący począwszy od menu. Inną ważną postacią był pan Schirmmacher, służący, coś na wzór angielskiego kamerdynera. Głównym jego zadaniem była troska o potrzeby wujka Sigiego. Od sypialni, przez garderobę aż po piwnicę, pan Schirmmacher był tam, gdzie go potrzebowano. Taki służący to zaufany człowiek, znający najbardziej intymne sfery życia, ale zawsze milczący jak głaz, aż do grobowej deski.

Dla nas zasady były proste: „Porządek musi być” („Ordnung muss sein”), to było jak najwyższy nakaz od Boga. Byliśmy często upominani, by stać prosto: „Wypnij pierś, wciągnij brzuch”. Uczuć się nie okazywało, „ Nie bądź babą” mówiono.

Kwadrans przed porą posiłków służący Schirmmacher chodził po pałacu i dzwoniąc dzwonkiem zapraszał do stołu. Wszyscy zbierali się w pokoju dziennym. Jedzenie podawano punktualnie. W odpowiednim momencie służący z należytym ukłonem oznajmiał cioci: „Wielmożna Pani, podano do stołu”. Potem formowała się procesja, z panią domu na czele, wujkiem Sigim, podążającymi za nim gośćmi i innymi obecnymi w danej chwili osobami, a na końcu my, dzieciaki. Do jadalni wchodziło się przez hol wejściowy. W długim, wąskim pomieszczeniu znajdował się długi stół. Tego pomieszczenia dziś już nie ma. W miejscu drzwi wejściowych jest teraz winda. Na tyłach jadalni stał kredens, który krył w sobie mini- windę dostarczającą posiłki z kuchni. Na skraju stołu zasiadała ciocia Annemarie, obok niej wuj Sigi. Służący Schirmmacher wędrował od jednej do drugiej osoby serwując dania z tacy na jednej ręce, drugą natomiast zawsze trzymał na plecach. Nasze dzieci obowiązywały konkretne reguły zachowania się przy stole:

Należy jeść to, co jest na stole - nie ma koncertu życzeń- to, co znajdzie się na talerzu musi być zjedzone; wszystko jest pyszne, nie ma wybrzydzenia- łokcie nie są częścią stołu- łyżkę przybliży się do ust a nie usta do łyżki- ziemniaków nie kroi się nożem itp.

Nasze zachowanie przy stole było stale obserwowane, gdy wuj Sigi miał jakieś zastrzeżenia, krzyczał po sali: „ O najwyższa z potraw, ja jem, a wy żrecie”.

Wieczorami cała rodzina spotykała się w pokoju dziennym (na lewo od holu). Siedziało się wtedy w wygodnych, głębokich skórzanych fotelach, swobodnie konwersowało lub czytało. Obok jednego z foteli stał kosz z gazetami. Pamiętam takie pozycje jak: „Dziczyzna i pies” („Wild und Hund”), „Niemieckie polowanie” („Deutsche Jagd”), „Niemiecka gazeta szlachecka” („Deutsches Adelsblatt”). To mnie interesowało. Często do nich zaglądałem. W „Deutsches Adelsblatt” znalazłem wiele ciekawych artykułów, między innymi dowiedziałem się paru ciekawostek na temat koron w herbach rodzinnych. Naturalnie jak wszystko, ma to swój określony porządek i rangę. I tak na przykład szlachectwo nadane (Briefadel) miało pięciopałkową koronę, szlachta z tradycjami (Uradel) siedem pałek w koronie, a rodziny hrabiowskie (Graf) dziewięć. Przez jednego z wówczas obecnych zostałem pouczony: „Waldofowie mają ich siedem”. Zrozumiałem wtedy, dlaczego „Deutsches Adelsblatt” przez niektórych był drwiąco określany mianem „gazetki koronnej” („Kronenblättchen”).

## Szkoła

Oczywistym jest, iż nie wszystko sprowadzało się wyłącznie do radości, wrzawy i zabawy. Naprawdę poważną częścią naszego życia były szkoła i zajęcia. Tu pieniądze i koszty nie grały roli. Mieliśmy w Mierzęcinie dwójkę domowych nauczycieli (Hauslehrer), którzy siłą rzeczy nieustannie związani z rodziną, mieszkali w pałacu. Tacy nauczyciele byli zwyczajowo młodą kadrą akademicką, po ukończonych studiach wyższych, pedagogicznych, jednak nie gotową jeszcze do podjęcia zinstytucjonalizowanej pracy zawodowej. Wybierali, zatem na początek niezobowiązujące życie na wsi połączone z godziwym wynagrodzeniem. Wielu późniejszych pastorów bądź profesorów decydowało się na taki początek kariery zawodowej. Szkoła w domu trwała zazwyczaj do 16, 17 roku życia. Potem kształcenie kontynuowano w szkołach z internatem. Niestety istniała poważna wada tego systemu: my, „dzieci pałacowe” izolowani byliśmy od zewnętrznego, „normalnego” świata, od innych „zwykłych” dzieci i ich życia.

Za naukę dziewcząt odpowiadała panna Gesell, nami zajmował się pan Fuchs. W pałacu znajdowały się klasy, pierwsza dla dziewcząt zaraz obok salonu dla kobiet, zarządzana przez pannę Gesell, druga natomiast, chłopięca, znajdowała się na pierwszym piętrze, gdzie dowództwo obejmował trzymający nas w ryzach pan Fuchs. Był on i muszę to dziś podkreślić, wspaniałym pedagogiem. U niego właśnie nauczyłem się francuskiego, dzięki temu później w szkole publicznej mogłem zabłyszczeć wiedzą językową. Jednak chyba właśnie ważniejsza, niż sama nauka, była dla mnie jego szczególna metoda przekazywania wiedzy. Pan Fuchs był zawsze przygotowany, a ja mogłem robić rzeczy, które w normalnych warunkach szkolnych byłyby nie do pomyślenia. Mogłem mu przerywać, czasami nawet nie zgadzać się z nim i jego wypowiedziami.

Zajęcia z historii rozpoczynał zawsze od dziejów rodzinnych, które czasowo związane były z powszechnymi faktami z przeszłości, które chciał omawiać. I tak, kiedy omawiał średniowiecze, rozpoczynał opowieścią o pierwszych udokumentowanych wzmiankach o rodzie Waldow- wtedy jak mówią zapisy Waldau. Od 1217 roku to nazwisko rodowe było silnie związane z miasteczkiem Górnego Palatynatu Waldthurn i zamkiem Waldau niedaleko czeskiej granicy, który stoi do dziś. Byliśmy

naprawdę pod wrażeniem. „To było prawie przed 750 laty!”. Pan Fuchs dodał: „Jeśli dyskutuje się o takich rodzinach jak wasza, to czasami trzeba cofnąć się nawet o 1000 lat”. Usłyszeliśmy jeszcze więcej o rodzinie Waldau. Należała do rycerstwa cesarskiego, której zadaniem była obrona granic cesarskich posiadłości, leżących obecnie w obszarze Lasów Palatynatu (Pfälzer Wald). W tym celu wybudowali wokół głównego zamku Flossenburg inne skrajne zamki: Waldau, Waldthurn, Trausnitz i Pleystein, wszystkie ściśle związane z rodem Waldau. Musieliśmy, zatem znaleźć wszystkie te budowle na mapie. W taki właśnie sposób wykorzystywał pan Fuchs dzieje przodków, wprowadzając nas jednocześnie do czasów średniowiecza. Dowiadaliśmy się również o wielu szczegółach. W okolicy znajdował się K klasztor cystersów Waldsassen. Mieszkający tam pobożni opaci byli tak skrajnie zachłanni i sprytni, że okoliczne majątki rycerskie oraz ich mieszkańcy byli z czasem coraz bardziej zadłużeni wobec klasztoru. Pewnego dnia panowie Heinrich von Waldau i Konrad von Hohenfels postanowili z tym skończyć. Pod osłoną nocy najechali ze swymi ludźmi na klasztor, podpalając budynki i jak kronika tamtych zdarzeń donosi „uprowadzili woły, świnie, owce i inne zwierzęta jako łup oraz przywłaszczyli sobie stroje i inne dobra opatów”. Bardzo nas rozbawiła historia o tym haniebnym czynie. Oczywiście w pewnym sensie opactwo przedstawione zostało nader zabawnie. Interwencja jednego z opatów spowodowała nawet, że von Waldau i jego kompan zostali skazani na wyklęcie i banicję przez samego papieża. W akcie/ dokumencie napisano: „kara obowiązuje dopóki tron apostolski nie otrzyma potwierdzenia o naprawie wszystkich wyrządzonych szkód”. To było w roku 1295. Zarządzona wyprawa do Rzymu z „rozliczeniem” nigdy jednak nie miała miejsca. W roku 1992 miasteczko Waldthurn świętowało 775 jubileusz powstania. Dla mnie i Brygidy był to powód podróży do Niemiec i okazja do odwiedzin jednego z miejsc, gdzie panowali von Waldau. Wraz z innymi członkami rodziny, jako przedstawiciele rodu twórców miasta uczestniczyliśmy w obchodach jubileuszu.

Zaraz po tym, jak ja i Norbert usłyszeliśmy wszystkie te miłe opowieści i anegdoty, postawiliśmy jedno, bardzo ważne pytanie: „Skoro von Waldau wcześniej odgrywali tak ważną rolę w bawarskim Palatynacie, jak doszło do tego, że dziś nazywamy się Waldow i żyjemy w Marchii Brandenburskiej (Die Mark Brandenburg)?”. Fuchs wydawał się tylko czekać na to pytanie i natychmiast ciągnął dalej: „Waldau w Górnym Palatynacie byli poddanymi Elektora Bawarii. W połowie XIV wieku Elektor nabył w posiadanie Brandenburgię i został tym samym Hrabią Marchii. By administrować nową siedzibą sprowadził sobie „z zagranicy” oddanego rycerza. W taki oto sposób w roku 1351, pierwszym Marszałkiem w hrabiowskiej Marchii Brandenburskiej został Henzlin von Waldow. Za swą wierną służbę otrzymał Henzlin v. Waldow jako lenno w roku 1367 Pałac i Miasto Lubniewice (Königswalde) w Nowej Marchii. Rodzina osiadła w Brandenburgii, natomiast końcówka nazwiska została zmieniona na „ow” w oparciu o zasady stosowane ówczesnie na Nizinie Niemieckiej. „Lubniewice do dziś dzień należą do jednego z Waszych wujków”, dodał jeszcze pan Fuchs.

Nasze rozbudzone zainteresowanie historią wkrótce przybrało formę kolejnych pytań: „Kiedy zatem Mierzęcin stał się własnością naszej rodziny?”. Ku naszemu zaskoczeniu pan Fuchs podniósł się z krzesła i oznajmił: „Do tego potrzebna jest mała wycieczka”, po czym sprowadził nas na dół do Sali Ogrodowej, która udostępniana była tylko na specjalne okazje. Ściany pokryte były portretami naszych przodków, panowie z poważnymi minami w uniformach pełnych orderów,

panie zaś w pozycjach dostojnych dam. Zatrzymaliśmy się przed olejnym malowidłem - portretem przedstawiającym wywierającego ogromne wrażenie oficera w uniformie „kirasjera”. Na dole widniał napis:

„Friedrich Sigismund von Waldow z majątku Mierzęcín i Wołogoszcz, Major i Dowódca Regimentu Kirasjerów Jung- Waldow, ur. 1682, zm. 5. stycznia 1742”.

Pan Fuchs opowiedział nam wtedy o szczególnych, bliskich relacjach między Friedrichem Sigimundem a królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem I. Król został nawet ojcem chrzestnym pierworodnego syna Friedricha Sigismunda. W 1721 Friedrich Sigismund kupił dobra w Mierzęcínie, w których mieszkał do końca swoich dni. Byliśmy pod wrażeniem, a Norbert dodał: „Nasz tata też ma na imię Sigismund, a poza tym, to stary wuj generał wygląda zupełnie jak nasz ojciec”. Ja sprzeciwiając się, dodałem: „To nie generał jest podobny do wujka Sigiego, lecz odwrotnie, wuj Sigi wygląda jak jego przodek”. Tak czy tak, podobieństwo było zaskakujące. Krótka wycieczka po sali zakończona została stwierdzeniem pana Fuchsa, iż Mierzęcín jest od ponad 200 lat siedzibą naszej rodziny.

Jeśli chodzi o historię Prus, trzeba przyznać, że została ona omawiana przez pana Fucha wyczerpująco. Mimo wszystko fakty historyczne oraz zwycięskie bitwy świętowane potem jako „pruska chwała” („Preußens Gloria”) nie były wcale tematem wiodącym. To wszystko można było, bowiem przeczytać w podręcznikach. Pan Fuchs pragnął zobrazować nam ducha Prus, pruską ideę państwowości, innymi słowy to wszystko, co uczyniło z Prus jedno z najnowocześniejszych państw w XVIII wieku. Określenia takie jak oświecone państwo, państwo rozsądku musiał jednak pominąć, bądź przedstawić inaczej. Dla nas wtedy było to zbyt trudne do przyswojenia. Dlatego opowiadał nam o rozwoju Prus, o pruskiej tradycji, pruskiej cnotcie. „ Niektórzy z prawdziwych Prusaków żyją do dziś, w tym zakorzenione są również wasze tradycje rodzinne”- powiedział Pan Fuchs.

My należeliśmy do starej pruskiej szlachty, natomiast, co to w praktyce oznaczało, nie mieliśmy pojęcia. To właśnie chciał nam pan Fuchs wyjaśnić. Państwo Pruskie wyrosło z Księstwa Brandenburgii i dzięki osiągnięciom i wyczynom trzech wielkich władców stało się jednym z ważniejszych mocarstw Europy Centralnej. Pierwszym był Wielki Książę Brandenburgii. Jego kraj został całkowicie spustoszony podczas Wojny Trzydziestoletniej, ocalała tylko 1/3 ludności. Aby ponownie zasiedlić państwo musieli przybyć imigranci. To dla nich jako pierwsze państwo europejskie Prusy wprowadziły zasadę tolerancji. Słowo tolerancja miało tu ogromne znaczenie. Każdy był witany z otwartością niezależnie od wyznania, rasy, miejsca pochodzenia. Katolik, Żyd? To nie miało znaczenia. Tolerancja była jednym z podstawowych elementów pruskiej idei państwowości.

Król Fryderyk Wielki ( Friedrich d. Große (1740- 1786) był przez nas szczególnie dokładnie omawiany. On ostatecznie stworzył z Prus potęgę w Europie. Bez swej zasłużonej na polach bitew, pruskiej szlachty, z pewnością nie przetrwałby Wojny Siedmioletniej. Jemu też zawdzięczamy wzmocnienie struktur wewnętrznych państwa, szczególnie przez nową praworządność. Wprawdzie Fryderyk Wielki był władcą absolutnym, jednak respektował prawo oraz jego wyroki, również, gdy dotyczyły go bezpośrednio. Dzięki temu właśnie Prusy okrzyknięto pierwszym państwem prawa w Europie – wobec prawa wszyscy byli równi. Przepisy i ustawy państwowe przyczyniły się do stworzenia pokojowych i sprawiedliwych zasad współżycia poddanych, również w obszarze interesów, którymi się zajmowali. Mimo

wszystko wymagano od nich, by przedkładać bezwzględnie interes państwa ponad swój własny.

Pryncypia ideowe i pozycja poddanych w Prusach wymagały oczywiście określonego sposobu postępowania. Służba państwu była obowiązkiem, szlachta określała swoją służbę mianem „szlachetnej powinności” („vornehmste Pflicht”), szczególnie w administracji i wojskowości. „Być nieprzekupnym jak pruski urzędnik”- określenie, które stało się bardzo wzniosłe. Posłuszeństwo i lojalność były kwestą priorytetową, ponieważ król swoimi ustawami stanowił o praworządności i sprawiedliwości. Nie chodziło tu o ślepe posłuszeństwo, lub jak potem mówiono - ślepe posłuszeństwo (Kadavergehorsam). Żeby tą kwestię zilustrować precyzyjniej pan Fuchs przedstawił nam dwie anegdoty, które zresztą później odnaleźliśmy w literaturze:

- 1) Był u króla Fryderyka Wielkiego Minister Sprawiedliwości, nazywał się von Münchhausen. Któregoś dnia wyrok zasądzony przez niego nie spodobał się władcy i ten postanowił go ściąć. Na to minister broniąc się, odparł: „Najjaśniejszy Panie, moja głowa jest do Waszej dyspozycji, sumienie jednak nie.”
- 2) Po jednej z przegranych walk król przywołał do siebie majora, który jego zdaniem popełnił niewybaczalny błąd i zbeształ go. Major próbując się usprawiedliwić odrzekł: „Najjaśniejszy Panie, ja jedynie wykonałem rozkaz mojego przełożonego, Komandora Regimentu”. Na to król wybuchł: „Czy pan uważa, że ja po to pana mianowałem na majora, żeby pan teraz wykonywał każdy, nawet najgłupszy rozkaz jakiegoś tam przełożonego?”

I tu znów pojawia się kwestia pruskiej cnoty. Gdy ten temat pojawiał się na naszych zajęciach, przestawaliśmy być myślami w historii i wracaliśmy do czasów dzisiejszych, do naszej siedziby w Mierzęcynie. Od razu pojawiała się mowa o spełnianiu obowiązków. „Obowiązek to obowiązek a sznaps to sznaps”/ „Pflicht ist Pflicht, und Schnaps ist Schnaps”- ile raz to słyszeliśmy... „Zachowaj umiar”/ „Maßhalten”, „zresz jak świnia”/ „Du frißt ja wie ein Scheunendrescher”, albo „szlachcic dba o linię, za to objeść mogą się tylko motłoch”/ der Adel hält auf Tallie, nur der Pöbel frißt sich satt” - upominano nas. „Najpierw pomyśl, potem działaj”/ „Erst denken, dann handel”, albo inny wzniosły zwrot „wszystko po kolei”/ „So schnell schießen die Preußen nicht!”. „Porządek musi być”/ „Ordnung muß sein”- powracało zawsze. Wszystkie te reguły można by określić jednym słowem: „dyscyplina”, która to właśnie rządziła w położonych na wschód od Łaby (Elby) majątkach szlacheckich.

Jak powinniśmy zostać wychowani w oparciu o powyższe reguły?

Dziś odpowiedziałbym, że na obywateli państwa. O tym się nie dyskutowało, takie były warunki. Wzorem było po prostu Państwo Pruskie, w którym szlachcic był zapleczem (rezerwuarem) dla rządzących urzędników. Pan Fuchs szczególnie często przypominał nam: „ Tytuł szlachecki przed waszym nazwiskiem to tylko dodatek, zewnętrzna dekoracja. Prawdziwy szlachcic musi mieć te wszystkie zasady wyżej”, pokazując jednocześnie palcem wskazującym na nasze głowy.

Sąsiednie państwo Polska było oczywiście również tematem na naszych lekcjach, tyle tylko, że traktowane z pruskiego punktu widzenia. Trzy wielkie siły, Rosja, Austria i Prusy dokonały kolejno w latach 1772, 1793 i 1795 rozbiorów, dzieląc między siebie niestabilny politycznie kraj. Tym samym z biegiem czasu Polska jako niezależne państwo przestała pojawiać się na mapach Europy. Ten stan zniewolenia utrzymywał

się do roku 1918 (od 1871 roku po rozwiązaniu Prus, zaborcą była Rzesza Niemiecka). W wyniku podziałów, Prusy/ Niemcy oraz Rosja stały się naturalnymi sąsiadami. Biorąc pod uwagę powyższe fakty, nasuwało się podstawowe pytanie: „Co myśleli i mówili ludzie, którzy w jednym momencie stali się mieszkańcami innego państwa?”. Pan Fuchs odpowiadał lapidarnie: „ Decyzje w tych kwestiach zapadały zawsze na najwyższych szczeblach, ludziom dane było jedynie się podporządkować”.

Potem omawialiśmy również postanowienia Pokoju Wersalskiego z roku 1918, okrzykniętego jako haniebnym. Niemcy zostali zobowiązani postanowieniami pokojowymi do oddania nowo kształtującemu się Państwu Polskiemu większości Prus Zachodnich, tzw. Korytarza Polskiego oraz całą Prowincję Poznańską.<sup>9</sup> Dawne hanzeatyckie miasto Gdańsk otrzymało status Wolnego Miasta.

W rzeczywistości jednak, te wszystkie „przetrasowania”, nas i Mierzęcina nie dotyczyły. Teraz majątek leżał po prostu w obszarze przygranicznym, granica polsko-niemiecka oddalona była jedynie 20 km od Mierzęcina.

Intensywne lekcje historii pod okiem pana Fuchsa wywarły na mnie ogromne wrażenie i od tamtej chwili historia stała się dla mnie szczególnym obszarem zainteresowań.

Moje życie w Mierzęcinie zakończyło się w momencie, w którym mój ojciec zakończył naukę i kształcenie duchowne, tzn. został pastorem. Zaraz potem objął funkcję proboszcza w miasteczku Steinhagen koło Stralsundu. Pożegnanie z Mierzęcinem oraz przestawienie się z życia pałacowego na parafialne nie było dla mnie rzeczą łatwą. Pozytywną stroną przeprowadzki był fakt, iż cała nasza rodzina ponownie była razem. Zmiana szkoły, tzn. trybu nauki była dla mnie kolejnym ciężkim wyzwaniem. Teraz uczęszczałem do regularnej szkoły w Stralsundzie, do której musiałem się dostać koleją, co w przypadku nauki w Mierzęcinie sprowadzało się do pokonania kilku schodów na pierwsze piętro. Poza tym nie siedziałem już vis- a- vis pana Fuchsa, lecz z 35 innymi uczniami.

### **Od końca do Nowej Ery**

W kolejnych latach przyjeżdżałem do Mierzęcina okazjnie i na krótko. Kiedy rozpoczęła się wojna, również te wizyty się skończyły. Ostatni raz byłem w Mierzęcinie w październiku 1944 roku. Po tym, jak zostałem ranny, przebywałem w szpitalu wojskowym w Gorzowie Wielkopolskim (Landsberg a.d.Warthe). Wiele się pozmieniało. Nie było już mojego dawnego Mierzęcina. Na dworcu nie było dorożek, czekał na mnie samochód. Kierowcą był stary człowiek, wszyscy młodzi wtedy walczyli. Był ubrany normalnie, o liberii nie było mowy. W holu powitała mnie ciocia Annemarie, jak zwykle, serdecznie. Ubrana była w żałobną suknię, gdyż w lutym poległ Norbert. Dom jawił mi się cichy i pustawy. Cztery kuzynki były gdzieś na obszarze Niemiec służąc Rzeszy, więc byliśmy tylko we dwoje, ciocia i ja. Przy kolacji ciocia tradycyjnie zasiadła na końcu stołu a ja tuż obok niej, tam, gdzie wcześniej zasiadał wujek Sigi. Wieczór spędziłem w pokoju dziennym. Kosz na gazety stał tam, gdzie niegdyś, tyle, że pusty. Zwyczajowe magazyny przestały być publikowane, bowiem rzeczywistość wojenna spowodowała ciągły niedobór wszystkiego, w tym także papieru. Znalazłem za to kilka dzienników. Na ostatniej stronie zamieszczane były nekrologi, po środku z Krzyżem Żelaznym: „Poległ na polu

---

<sup>9</sup> Prowincja Poznańska – to Wielkopolska

chwały”, „Zginał śmiercią bohaterską”, „oddał swe życie za Führera i ojczyznę”, „dumni w żałobie”, bądź też typowo, staromodnie, „Pułkownik taki a taki został przez Boga Wszechmogącego powołany do służby w Wielkiej Armii”. Ze złością rzuciłem gazetę na stół. Moja reakcja była jednoznaczna; „puste propagandowe bla, bla, bla”, „bzdura, kompletny bezsens!”. Były też nekrologi uwieńczone sentencjami biblijnymi. Następnego ranka poszedłem pospacerować po parku. Był bardzo zaniedbany. Wszyscy ogrodnicy zostali żołnierzami. Przystanąłem na chwilę przy grobie wuja Sigiego, potem zdeprimowany udałem się w kierunku jeziora. Była typowa jesienna pogoda, mokro i zimno, a to na pewno nie poprawiało mojego nastroju. Myślałem o sytuacji na froncie: Rosjanie byli już głęboko w Prusach Wschodnich, od czerwca front niemiecki był pośrodku przełamany. Rosjanie dotarli do Wisły, a Amerykanie parli przez Francję na wschód. „Co będzie dalej?”, pytałem sam siebie, lecz nie odważyłem się na tą jedyną właściwą odpowiedź. Na jednej z polan przy jeziorze dostrzegłem stado saren. Pasły się i strzygły uszami jak zwykle. Były więc jednak nieliczne rzeczy, które nigdy nie przemijają, pozostają niezmiennie. Kilka miesięcy później w Mierzęcinie byli już Rosjanie, co było przecież łatwe do przewidzenia. Ciocia Annemarie i nasz Tato niestety stali się ofiarami tych wydarzeń.

W kolejnych czterdziestu latach nasze życie zmieniło się zasadniczo. Musieliśmy sobie uświadomić i przetrwać, jak ogromne potworności popełnił reżim nazistowski pod szyldem Niemiec. Ja musiałem się przygotować do jakiegoś zawodu. Ożeniłem się, przyszło na świat dwoje moich dzieci. Ponadto okazało się, że moje rodzinne strony stanowią część Polski. Ojciec nie żył. Z Mierzęcinem, leżącym w Polsce już nic nas nie łączyło, pozostały jedynie wspomnienia.

Jako profesor teologii pracowałem przez 7 lat w przykościelnej Szkole Wyższej w Brazylii. Mieszkaliśmy na południu tego ogromnego kraju w mieście Rio Grande do Sul, w którym dokonaliśmy niebywałego odkrycia. W niedalekiej okolicy, odnaleźliśmy wioskę, w której mówiono „pomorskim Plattem” - czyli gwara, no może nie do końca i w pełni, bo przeplatana portugalskim słownictwem, ale była to nadal pomorska gwara. Tu zapewne mieliśmy do czynienia z potomkami emigrantów z Pomorza, którzy napływali do Brazylii od 1824 roku.

Od 1966 roku mieszkamy już w USA, w Pittsburghu, gdzie pracuję jako profesor uniwersytecki. Po dziewiętnastu latach ja, moja żona Brigitte i syn Arend ponownie wybraliśmy się w podróż do Europy. To była wyśmienita okazja, by odwiedzić w Niemczech połączyć z wycieczką do Polski, zawitać do Mierzęcina. Jadąc autem z Lubeki, dotarliśmy najpierw do Kołobrzegu (Kolberg), miasta, w którego Katedrze mój ojciec służył jakiś czas jako pastor pomocniczy. Stamtąd pojechaliśmy dalej w kierunku Bobolic (Bublitz). W młodości bywałem tam często w odwiedzinach u szkolnych kolegów. Kolejną miejscowością na naszej trasie było Wojęcino (Wojenthin), gdzie miał znajdować się grób naszego ojca. Drogę ciężko było nam znaleźć, szczególnie, że polskie nazwy miejscowości nic nam nie mówią. W związku z tym zatrzymywaliśmy się pytając o drogę. Gdy ludzie dostrzegli jednak, że nie rozumiemy ani słowa, wielu z nich wsiadało do auta i naprowadzało nas. Niestety Wojęcino bardzo nas rozczarowało. Mimo pomocy mieszkańców wioski, nie udało nam się odnaleźć grobu ojca. Stąd chcieliśmy jechać już bezpośrednio do Mierzęcina, ale ponownie pojawiły się problemy z odnalezieniem właściwej trasy. Dotarliśmy do małego miasteczka, którego nazwy nie znaleźliśmy. Całe szczęście rozpoznałem kościół, a zwłaszcza cztery małe wieżyczki osadzone na wieży kościelnej. To był Dobiegniew (Woldenberg). Mój ojciec zawsze mówił na ten kościół:

„Kościół jak butelka wina”. Stąd było jedynie 5 km do Mierzęcina. Już z oddali witała nas wieża pałacowa. W końcu wjechaliśmy do wsi i znaną już dróżką doszliśmy do pałacu.

Widok był zaskakujący. Pałac wydawał się być kompletną ruiną, a przyległy park wyglądał jak zdziczały las. Czyżby to miał być koniec naszego starego Mierzęcina i długiej historii z nim związanej? Smutni staliśmy tam przez krótką chwilę. Zanim jednak oddaliliśmy się, wysoko na lewej wieży pałacu Arend zauważył bocianie gniazdo, co oznaczało, że teraz bociany zrobiły sobie z naszego domu swoją siedzibę. Po chwili Brigitte obróciła się w moim kierunku i powiedziała: „Eberhardzie, wiesz przecież, że dzieci głęboko wierzą w to, że bociany przynoszą dzieci. A dzieci to przyszłość. Może dla tego miejsca jest jeszcze jakaś nadzieja?!” We wsi rozmawialiśmy ze starszą kobietą, która znała niemiecki. Gdy była młoda, pracowała tutaj jako służąca. „Pamiętam jeszcze czasy, kiedy to rodzina von Waldow miała tu decydujący głos, to były wspaniałe dni”- powiedziała starsza pani, po czym zwracając się do Arnda krzyknęła: „Wstań chłopcze, obróć się”. Arnd posłusznie wykonał polecenia. „Tak właśnie wcześniej wyglądali młodzi Waldow’owie”. Po tej jakże miłej wizycie, powróciliśmy do Kostrzyna, a w końcu do Ameryki.

Minęło dziesięć lat, a my o Mierzęcinie nic nie słyszeliśmy. Uznaliśmy ten temat za zamknięty. W roku 1998 doszły do nas bardzo interesujące wieści- Ruina została kupiona przez dwóch polskich przedsiębiorców. Nowi polscy właściciele mieli odrestaurować pałac nadając mu pierwotny styl i wystrój.<sup>10</sup> Docelowo obiekt miał pełnić funkcję centrum hotelowo- konferencyjnego. My, von Waldow uznaliśmy to nie tylko jako interesujące, podeszliśmy do tego z entuzjazmem. W ramach pomocy udostępniliśmy nasze zbiory rodzinne (zdjęcia, publikacje), wszystko, co mogłoby przyczynić się do realizacji planu obu panów. W końcu w roku 2001, otrzymaliśmy zaproszenia z okazji otwarcia Pałacu w Mierzęcinie. Na zaproszeniu widniały dwa podpisy: Piotra Olewińskiego i Piotra Nowakowskiego. Znaliśmy jedynie nazwiska nowych właścicieli, nic więcej. Wycieczka z Pittsburgha do Europy to nie jest bagatela, jednak jak się przekonaliśmy, była tego warta.

W Dobiegniewie nie musieliśmy długo szukać drogi. Dojazd ułatwiała ogromna tablica informacyjna z wskazówką: Pałac Mierzęcina. Gdy w końcu ujrzeliśmy pałac, nie mogliśmy wyjść z podziwu. Tak piękny nie był nigdy dotąd. Potem przez hol wchodziliśmy do poszczególnych pomieszczeń. Chodząc po pokojach i salach przywoływaliśmy wspomnienia z przeszłości. Przez właścicieli zostaliśmy przywitani bukietami kwiatów.

Uroczyste otwarcie było niesamowitym przeżyciem. Gwoździem programu była ceremonia w holu, którą uznałem za pierwszorzędną. Z sufitu opuszczony został żyrandol, Pan Nowakowski poprosił moją kuzynkę Irmę, córkę ostatnich właścicieli, która dorastała w pałacu, o zapalenie świec po jednej stronie, natomiast po drugiej stronie zrobiły to dzieci obecnych właścicieli.<sup>11</sup> Mieliśmy, zatem połączenie epok, starszą panią reprezentującą „dawny, przeszły Mehrentin” oraz młodych Polaków, przedstawicieli „nowego Mierzęcina”.

---

<sup>10</sup> Korekta: Zamierzeniem nowych właścicieli była odbudowa Pałacu, łączącego przedwojenny charakter z funkcjonalnością i nowoczesnością.

<sup>11</sup> Korekta: W tekście oryginalnym mowa jedynie o polskich dzieciach zapalających świece. Faktycznie chodzi o dzieci obecnych właścicieli: Magdę i Ewę Olewińską oraz Romę i Filipa Nowakowskiego.



Przed odjazdem jeszcze wiele dyskutowałem z „Piotrami”. Musiałem im po prostu podziękować za to, że Mierzęcín znów jest taki piękny. Co więcej, musiałem im podziękować za to, że rekonstruując Mierzęcín, nie chcieli stworzyć czegoś kompletnie nowego, lecz świadomie osadzili historię i fakty w odnowionych murach. To wcale nie jest takie oczywiste i zrozumiałe, to zachowanie godne naśladowania dla wszystkich, również w przyszłości.